

Krzysztof Bakała

Muzeum Niepodległości w Warszawie

ORCID: 0000-0002-8713-5711

Trzy życia Felicji Polkowskiej. Cz. I

Słowa kluczowe

Felicja Polkowska, II wojna światowa, deportacje, kołchozy, los polskich nauczycieli, Polonia brytyjska

Streszczenie

Tematyka dotycząca tragicznych losów ludności polskiej zamieszkującej wschodnie tereny II RP, po zajęciu ich przez Związek Radziecki, doczekała się niemałej już literatury. Dramat tysięcy rodzin zesłanych na „niehumanitarną ziemię” jest coraz powszechniej znany, zwłaszcza dzięki relacjom osób, którym udało się przeżyć tę gehennę. Każde z tych wstrząsających świadectw jest jedyne w swoim rodzaju. Nieczęsto jednak się zdarza, by przeżycia te spisane zostały w innym niż polski języku. A taki właśnie przykład stanowią wspomnienia Felicji Polkowskiej wydane w 2000 roku w języku angielskim przez Derbyshire Country Council Libraries & Heritage Department, zatytułowane *The Undeclared War*. Nie były one efektem dociekań badawczych prowadzonych przez historyków, genealogów czy też biografów. Intencje autorki w przedmowie przedstawiła Jenny Edgar, redagująca wspomnienia, wyrażając przekonanie o ich wartości i znaczeniu dla wielu osób. Podkreślić też należy ich niebagatelną wartość historyczną, polegającą na dokładnym opisie miejsc, w których autorka przebywała, a także czynności, które wykonywała. Wspomnienia Felicji Polkowskiej nie miałyby większych szans na popularyzację wśród czytelników, zwłaszcza polskojęzycznych, gdyby nie poszukiwania genealogiczne, które przeprowadziła jej wnuczka Linda Polkowski. Sprawily, że odnalazła swych krewnych w Polsce, którzy żywo zainteresowali się ich treścią. W następstwie tego jej polska kuzynka Grażyna Liana, mając świadomość ich wartości, postanowiła z powodzeniem zainteresować nimi redakcję „Kwartalnika Kresowego”. Tym oto sposobem przedstawiamy je czytelnikom jako ważny przyczynek historyczny.

Tematyka dotycząca tragicznych losów ludności polskiej zamieszkującej wschodnie tereny II RP, po zajęciu ich przez Związek Radziecki, doczekała się niemałej już literatury. Dramat tysięcy rodzin zesłanych na „nieludzką ziemię” jest coraz powszechniej znany, zwłaszcza dzięki relacjom osób, którym udało się przeżyć tę gehennę. Każde z tych wstrząsających świadectw jest jedyne w swoim rodzaju. Nieczęsto jednak się zdarza, by przeżycia te spisane zostały w innym niż polski języku. A taki właśnie przykład stanowią wspomnienia Felicji Polkowskiej wydane w 2000 roku w języku angielskim przez Derbyshire Country Council Libraries & Heritage Department, zatytułowane *The Undeclared War*¹.

Nie były one efektem dociekań badawczych prowadzonych przez historyków, genealogów czy też biografów. Intencje autorki w przedmowie przedstawiła Jenny Edgar² redagująca wspomnienia, pisząc:

W czerwcu 1999 roku poproszono mnie o przeczytanie rękopisu z myślą o jego publikacji przez Derbyshire Library Service Publications Programme. Został on napisany przez Felicję Polkowską, która wraz z rodziną przybyła do Anglii w maju 1948 roku. Jej najmłodszy syn, który urodził się po wojnie, wielokrotnie prosił ją o napisanie opowieści o życiu jego rodziny w ogarniętej wojną Polsce. Felicja Polkowska w końcu zgodziła się na jego prośbę i w 1992 roku, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, zaczęła pisać historię ich rodziny. Po przeczytaniu zaledwie kilku stron wiedziałam, że historia, która się rozwija, będzie bardzo interesująca dla wielu osób. Ukończenie rękopisu zajęło Felicji Polkowskiej kilka lat, a efektem jest żywy, wzruszający i odważny portret jej życia w Polsce podczas II wojny światowej i długiej podróży jej rodziny przez kontynenty, aby dotrzeć do bezpiecznej Anglii. Felicja, używając swojego drugiego języka, wnosi do swojego pisanego uroku i autentyczność, a ja redagowałam tekst z delikatnością, aby zachować te cechy.

Wyrażając, podobnie jak Jenny Edgar, przekonanie o zainteresowaniu się wspomnieniami Felicji Polkowskiej wielu osób, podkreślić też należy ich niebagatelną wartość historyczną. Polega ona na dokładnym opisie miejsc, w których autorka przebywała, a także czynności, które wykonywała.

Warto zaznaczyć, że wspomnienia Felicji Polkowskiej nie miałyby większych szans na popularyzację wśród czytelników, tym bardziej

¹ *The Undeclared War* by Felicja Polkowska, Derbyshire Country Council Libraries & Heritage Department, 2000.

² W tym czasie Specjalistka ds. rozwoju literatury Derbyshire County Council.

polskojęzycznych, gdyby nie poszukiwania genealogiczne, które przeprowadzała jej wnuczka Linda Polkowski. Sprawily, że odnalazła swych krewnych w Polsce, którzy żywo zainteresowali się wspomnieniami. W następstwie tego jej polska kuzynka Grażyna Liana, mając świadomość ich wartości, postanowiła z powodzeniem zainteresować nimi redakcję „Kwartalnika Kresowego”. Tym oto sposobem przedstawiamy ich treść czytelnikom jako ważny przyczynek historyczny.

Moim pragnieniem jest udostępnienie tekstu możliwie najbliższego intencjom autorki, co zważywszy na fakt podwójnego przekładu, stanowi pewną trudność. Do tekstu włączono niezbędny aparat naukowy. Bez zmian pozostawiono tytuły poszczególnych rozdziałów.

Krzysztof Bakała

WSTĘP

W 1939 r. nasza rodzina mieszkała w miasteczku Baranowicze położonym we wschodniej części Polski, niedaleko granicy z Rosją. Północną część tego terytorium zamieszkiwała mieszanica narodowości. Miasta zamieszkiwali głównie Polacy; były tam duże społeczności żydowskie, wielu Białorusinów, trochę Litwinów, Tatarów i innych małych grup etnicznych. Ortodoksyjni Białorusini zamieszkiwali wioski. Majątki ziemskie i małe gospodarstwa należały do polskiej i białoruskiej szlachty.

Pierwszego września 1939 r. Niemcy bez ostrzeżenia zaatakowały Polskę od południa i zachodu. W sojuszu z Niemcami Armia Czerwona Związku Radzieckiego przekroczyła wschodnią granicę 17 września 1939 roku i zajęła całe duże wschodnie terytorium Polski. W październiku okupanci przyłączyli je do Związku Radzieckiego.

Wielu polskich mężczyzn zostało aresztowanych i skazanych na pracę w kopalniach i lasach. Zostali uwięzieni w obozach jenieckich w dalekiej północnej Rosji. Tysiące polskich rodzin, prawie połowa ludności anektowanego terytorium, zostało przetransportowanych na Syberię i na wschód do Kazachstanu, Kirgizji i północnej Azji. Wielu Rosjan zostało wysłanych do Polski, aby się tam osiedlić i rządzić. Tysiące polskich oficerów i żołnierzy oraz wielu cywilów zostało aresztowanych i zabitych w więzieniach w Rosji – Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych miejscach.

WOJNA 1939

Luty tego roku był bardzo zimny i ponury. Zima w północno-wschodniej części Polski zawsze była surowa. Jednak ta zima była zimniejsza niż jakakolwiek inna, którą pamiętam. Pewnej nocy na niebie pojawiły się niezwykle zjawiska. Duże, ruchome, wibrujące wiązki światła pokryły niebo ogromnym półkolem. Były przerażające. Niebo było płonącym rozbłyskiem. Światła pojawiały się przez kilka nocy, a potem znikwały. Ludzie we wsi zaczęli mówić o znakach i omenach pojawiających się przed katastrofą narodową. Nikt nigdy nie widział odbicia „Zorzy Polarnej” ani nie słyszał, żeby świeciła na polskim niebie. Upływ czasu przesłonił jakoś w pamięci to przeczucie niepokoju. Wszyscy w domu zapomnieli prawie o tym zjawisku. Wkrótce na pierwszy plan wysunęła się bardzo ważna zmiana w życiu naszej rodziny.

W końcu nasz plan przeprowadzki do własnego domu w mieście Baranowicze stał się rzeczywistością. Mój mąż i ja byliśmy nauczycielami i pracowaliśmy we wsi przez dziesięć lat. W 1937 roku mój mąż kupił działkę w Baranowiczach i materiały budowlane od Nadleśnictwa w Kołpienicy³, a także zawarł umowę z budowniczym. Sami zaplanowaliśmy dom ze wszystkimi szczegółami. Pamiętam, jak bardzo byliśmy podekscytowani, jak bardzo byliśmy zadowoleni, że nasze plany zostały zaakceptowane przez miejskiego architekta.

W 1938 roku dom został wybudowany z myślą o przyszłej rozbudowie w dwupiętrowy budynek. Do tego czasu miał dwa mieszkania na parterze. Każde składało się z trzech pokoi, łazienki, kuchni, spiżarni i piwnicy. Jedno mieszkanie wynajęliśmy nauczycielowi w średnim wieku z gimnazjum. Był żonaty z wdową, która miała jednego dorosłego syna pracującego w biurze. Wprowadzili się kilka miesięcy przed nami. Pod koniec czerwca 1939 roku przeprowadziliśmy się do naszego nowego domu w mieście. Byliśmy bardzo zajęci i szczęśliwi. Dzieci były podekscytowane. Mieliśmy dwóch synów; Jan miał osiem lat, a Zdzisław⁴ pięć. Józef, siostrzeniec mojego męża, miał dwanaście lat. Opiekowaliśmy się nim w ostatnim semestrze szkolnym, mając nadzieję, że pomożemy mu, dopóki nie skończy

³ Lasy należące do Nadleśnictwa Kołpienica okalały Baranowicze od północy, wschodu i południa. Nadleśnictwo położone było na północ od miasta, nieopodal folwarku Kołpienica.

⁴ W oryginalnym tekście używano „Geesław”.

szkoły. Wkrótce chłopcy, w nowym miejscu, mieli nowych przyjaciół i razem z nimi zwiedzali miasto.

Nasz dom znajdował się blisko centrum miasta, ale nieopodal otwartej przestrzeni. W pobliżu znajdowały się sklepy oferujące szeroką gamą towarów. Miasto się rozrastało i modernizowało. Powstawały nowe sklepy, a przemysł się rozwijał. Miasto było czyste. Nowe przepisy dotyczące malowania domów według podanej palety kolorów sprawiły, że ulice wyglądały estetycznie i radośnie. Rzędy młodych drzew wzdłuż chodników rosły z zadziwiającą szybkością, dając chłodny cień i świeże powietrze.

Dni mijały szybko. Były po brzegi wypełnione aktywnością naszego nowego trybu życia. Zamiast lamp naftowych mieliśmy elektryczność, a zamiast czerpać wodę z wiadra wiszącego na linie, co wymagało pełnej siły naszych rąk, mieliśmy pompę zasysającą wodę ze studni. Miasto właśnie zaczęło budować system kanalizacyjny więc w łazienkach i kuchniach ścieki miały odpływ.

Zamówiliśmy nowy zestaw jadalny, nowe zasłony do wszystkich dużych, nowoczesnych okien i kolorowe dywany uszyte przez kobietę ze wsi. Mój mąż kupił motocykl i nowe radio. Byliśmy zajęci pielęgnacją ogrodu, odwiedzaniem sklepów i planowaniem naszej przyszłości, a także przyszłości naszych chłopców. Napawała nas nadzieja. Życie miało nowy wymiar i tak szerokie możliwości. Na początku lipca nasza pomoc domowa poprosiła o miesięczny urlop, aby pomóc rodzicom przy zbiorach w swojej wiosce. Pojechała i nigdy już nie wróciła. Coś niepokojącego zaczęło się dziać się w naszej miejscowości. Prowadzono dziwne rozmowy, szerzyła się propaganda obcych, którzy przychodzili nocą i znikali przed świtem.

Sierpień przyniósł na wsi wiele zmian, chociaż wtedy nie byłam ich świadoma. Lubiłam zajmować się domem, zajmować rodziną, gotować, robić zakupy, wymieniać książki w bibliotece i zajmować się ogrodem. Prawie każdego dnia mój mąż jechał motocyklem do wiejskiej szkoły, aby dopilnować postępów w wykańczaniu i konserwacji naszego nowego budynku szkolnego, a także opiekować się swoimi pszczołami. Kiedy zaczynał się nowy semestr, zabierał mnie do szkoły każdego dnia. Nie mogłam się doczekać przejażdżki.

W mieście były dwa kina. Tak się składało, że wyświetlały dobre filmy. Lubiśmy chodzić do kina wieczorami, podczas gdy dzieci bezpiecznie spały w łóżkach. Całkowicie zapomniałam o czytaniu gazet, podczas gdy mój mąż z niepokojem zaczął zwracać uwagę na

bieżące wiadomości. Nie były dobre, zwłaszcza od naszych zachodnich sąsiadów. Niemcy przygotowywały się do wojny. Przeciwno komu? Polska miała ważny traktat z Niemcami, więc nie było się czego obawiać. Byliśmy bezpieczni. Jak się okazało poczucie bezpieczeństwa było fałszywe i wkrótce musiałam obudzić się z moich złudzeń.

W lipcu otrzymaliśmy list z Kuratorium Oświaty z poleceniem zapisania się na zajęcia z Obrony Cywilnej. Wszyscy nauczyciele z okręgu, z wyjątkiem mężczyzn, którzy musieli dołączyć do ćwiczeń wojskowych, spotykali się w klasie.

Uczono nas pierwszej pomocy, dowiedzieliśmy się o gazach bojowych, jak używać masek gazowych, jak chronić żywność przed skażeniem i jak zadbać o bezpieczeństwo naszych domów. W tym czasie wydano też rozkaz budowy schronów w przydomowych ogródkach. Na ulicach można było spotkać mężczyzn z czerwonymi opaskami na rękawach. Byli członkami Obrony Cywilnej.

Wydawało się, że wojna jest nieunikniona, ale w tamtym czasie wciąż wydawała się nierealna i odległa. Mimo to wpłynęła już na każdą sferę codziennego życia. Zniszczyła radość, oczekiwania i nadzieję. Stworzyła niepewność. W sierpniu mój mąż został powołany do wojska. Został zakwalifikowany do służby w pospolitym ruszeniu⁵ i dlatego został przeznaczony do ochrony obiektów o znaczeniu wojskowym. Z małą grupą mężczyzn, został wysłany do ochrony jednej ze stacji kolejowych.

Ludzie zaczęli ustawiać się w kolejkach do banków. Udało mi się wypłacić nasze oszczędności z poczty w ostatniej chwili. Nie można było jednak odzyskać pieniędzy z dziecięcych książeczek „Premium” i pieniądze te przepadły. Z rosnącym niepokojem czekałam na list z Kuratorium Oświaty. Nie było żadnych instrukcji dotyczących rozpoczęcia roku szkolnego, pomimo zbliżającej się daty jego rozpoczęcia.

1 września przyniósł katastrofalne wieści; armia niemiecka przedarła się przez południową i zachodnią granicę z wieloma czołgami i samolotami. Zaatakowali bez ostrzeżenia. Zrzucili ogień z nieba na ziemię. Pomimo bohaterskich bitew, nic i nikt nie mógł ich powstrzymać. Spowodowali spustoszenie i chaos, atakując cały kraj. Polska nie była

⁵ W dwudziestoleciu międzywojennym była to kategoria C, którą przyznawano osobom zdolnym do wzięcia udziału w pospolitym ruszeniu, lecz nie do pełnienia służby w czasie pokoju.

gotowa na ten atak. Francja i Anglia nie chciały pomóc Polsce. Opóźnili swoją pomoc, pozostawiając Polskę na pewną śmierć.

Za naszymi plecami Niemcy zawarły pakt ze Związkiem Radzieckim, z którym Polska również podpisała traktat. Nasi dwaj sąsiedzi zawarli umowę o dzieleniu się podbitą Polską. Związek Radziecki, w nowym sojuszu z Niemcami, zaatakował Polskę od wschodu. W kraju ustała wszelka komunikacja. Tylko nasza stacja radiowa w Baranowiczach nadal wysyłała nam raporty o sytuacji w kraju. Niemieckie samoloty latały nisko, zabijając podróżujących w pociągach lub samochodach cywilów, a nawet ludzi biegających w panice pieszo lub jadących na wozach. Strzelali do cichych wiosek, zabijając wszystkich mieszkańców. Zaczęłam zakrywać szyby w oknach paskami papieru. Moje ręce się trzęsły. Jakoś udało mi się wykonać to zadanie. Robiłam wszystko jak automat bez myślenia, z czystego nawyku codziennej rutyny. Podobnie jak wszyscy robiłam zakupy, gromadząc większe zapasy artykułów spożywczych, przechowując na teraz i trochę na zimę. Martwiłam się o męża i o dzieci. Józef bardzo pomagał w zakupach i był dobrym bratem dla chłopców.

W pierwszych dniach września odwiedziły mnie dwie osoby. Jedną z nich była młoda Julia, żona leśniczego, mieszkająca we wsi Grabowiec⁶. Przywiozła dwa kufry, prosząc o przechowanie ich, dopóki jej brat nie odbierze. Jej mąż został powołany do wojska. Bała się mieszkać sama z małą córeczką w wiosce, która stała się nieprzyjazna⁷. Zorganizowała podróż, miała bilet kolejowy i małą walizkę z pieluchami dla dziecka. Nie było czasu, aby zostać dłużej. Bez wahania wniosłam jej kufry do sypialni. Pożegnałyśmy się pocałunkiem. Poszła z dzieckiem na rękach i walizką w rękę. Następnego dnia złożyła mi wizytę druga, starsza pani, obładowana kilkoma walizkami. Była to matka młodego nauczyciela, Witolda, którego dobrze znaliśmy. Pracował w szkole w Grabowcu. Nie dałaby rady sama wnieść bagażu do pociągu. Przepraszając mnie za kłopoty, poprosiła, abym zajęła się bagażem, dopóki nie będzie można go odebrać. Po krótkiej rozmowie i życzeniach rozstaliśmy się. Później przyszła odebrać rzeczy syna, gdy ten był w wojsku.

Kilka dni później przyjechał brat Julii. Opowiedział mi, jakie miała szczęście, uchodząc z życiem ze strzelaniny Niemców, którzy dwa

⁶ Położona na południe od Baranowicz.

⁷ Zapewne chodzi tu o oddziaływanie komunistycznej propagandy szerzonej za pośrednictwem agitatorów.

razy zaatakowali pociąg. Zorganizował taksówkę, podziękował mi za pomoc i odjechał na stację.

W drugim tygodniu września mój mąż wrócił do domu. Jaka ulga! Och, jak bardzo się cieszyłam, że go widzę. Szczęśliwa? Nie na długo. Wojna przynosiła mojemu krajowi rozpacz, udrękę i smutek. Trzynastego września nasze miasto zostało zaatakowane z powietrza. Miejscowa jednostka wojskowa⁸ próbowała uratować miasto, ale bez większego powodzenia.

Pojedyncze strzały naszych żołnierzy nie mogły niczego wskórać. Co gorsze, wskazywały wrogowi pozycję obrony i Niemcy ją niszczyli. By ratować życie, uciekliśmy do naszego schronu. Siedząc blisko siebie, słuchaliśmy przerażających odgłosów bombardowania. Długo? Wydawało się, że trwa to w nieskończoność. Zdzisław tak się przestraszył, że zaczął się jękać. Kilka lat zajęło mu to, by się wyleczyć.

Wieczorem szkarłatne płomienie w wielu miejscach rozpałały niebo na czerwono. Nie chciałam już zostać w mieście. Błagałam męża, aby znalazł jakiś środek transportu, by opuścić miasto. Wynajął człowieka z koniem i wozem z jednym snopem słomy na spodzie. Wyszliśmy z domu, siedząc na słomie i patrząc na miasto za nami. Było zasnuwane chmurami dymu i ognia. Nasza stacja radiowa została zniszczona. Nie było już żadnych wiadomości. Zostaliśmy odcięci od kraju. Znaleźliśmy schronienie poza miastem w małym gospodarstwie niedaleko lasu. Gospodarz pozwolił nam zatrzymać się w swojej stodole. Spędzaliśmy dni i noce, patrząc na nasze miasto z odległości siedmiu kilometrów. Każdego dnia wybuchały nowe płomienie. Słyszeliśmy ciężki dźwięk rozbijających się pocisków lecących z nieba. Zginęło wiele osób. Wielki blask pozostał w pamięci na zawsze.

Kim byli ci ludzie, Aniołowie Śmierci? Czy byli Niemcami czy Rosjanami? Siedemnastego września bombardowanie ustało. Postanowiliśmy wrócić do domu. Był wczesny poranek. Mój mąż wynajął naszego gospodarza, aby nas odwiózł. Kiedy byliśmy gotowi do wyjazdu, przy bramie pojawili się dwaj młodzi mężczyźni z bronią przypiętą do paska. Rozkazali mężowi oddać rewolwer i naboje. Mój mąż bez słowa oddał im rewolwer. Mogliśmy iść. Oboje nie mogliśmy mówić. Byliśmy całkowicie zdezorientowani i przygnębieni.

⁸ We wrześniu 1939 roku w Baranowiczach stacjonował 78. pułk piechoty podporządkowany dowództwu 20. Dywizji Piechoty.

Komuniści we wsiach byli dobrze zorganizowani w konspiracji i dobrze poinformowani o ruchach Armii Czerwonej. Byli gotowi przejąć władzę, gdy tylko Armia Czerwona przekroczy wschodnią granicę. Ci dwaj młodzi mężczyźni byli członkami nowej lokalnej milicji zorganizowanej wcześniej i gotowej do ochrony nowego reżimu.

WEJŚCIE ARMII CZERWONEJ

Dzień był jasny, z migoczącym światłem, a pajęczyna wznosiła się długimi srebrnymi smugami. Było tak cicho, jakby ziemia i niebo były zleknione. Nie było ani spokoju, ani pogody ducha właściwych dla września; zastąpił je niepokój. Droga w kierunku miasta była bardzo zatłoczona. Mieszkańcy miast wracali ze swoich schronień, a mieszkańcy wsi, Białorusini, również pędzili do miasta. Czułam napięcie i oczekiwanie w powietrzu. Ludzie spieszyli się, biegli, żeby „coś złapać”. Skąd ten gorączkowy pośpiech? Kiedy dotarliśmy do miasta, zobaczyliśmy sowiecki czołg powoli jadący drogą. Na szczycie czołgu wetknięto czerwone kwiaty. Białorusini głośno wiwatowali. Niektórzy przeciskali się przez tłum, żeby czule dotknąć czołgu. Salutowali żołnierzom i głośno wiwatowali. Serce mi zamarło. Drżałam... zrozumiałam... wiedziałam, że nic nie może odwrócić katastrofy i że mój kraj stracił wolność.

Trzydziestego września mój mąż został aresztowany. Stało się to we wsi na terenie szkoły. Mąż zabrał Józefa, aby pomógł mu przenieść ule do ogrodu w naszym domu. Komunistyczna milicja aresztowała go i dostarczyła do N.K.W.D. w Baranowiczach. Józef wrócił do domu pieszo, płacząc przez całą drogę. Był zmęczony i przestraszony. Powiedziałam dzieciom, żeby zostały w domu, podczas gdy ja udałam się do siedziby N.K.W.D., która później stała się KGB.

Zajęli duży budynek Banku Polskiego. Kilka kobiet czekało na swoich mężów, którzy również zostali aresztowani. Zgłosiłam się do recepcji. Boczne drzwi otworzyły się, umożliwiając wejście dwóm mężczyznom w mundurach, a mój mąż stał między nimi. Podał mi swoją obrączkę ślubną, mówiąc: „Mogę ją zgubić, zachowaj ją dla mnie”. Poprosił mnie, żebym poszła do wszystkich rodziców dzieci szkolnych we wsiach i poprosiła ich o podpisanie petycji w sprawie jego uwolnienia. Twarz mojego męża była blada i niespokojna, głos miał chrapliwy. Co oni mu zrobili? Ledwo mogłam rozpoznać

człowieka, który był taki stanowczy. Czy był torturowany? Obiecałam zrobić wszystko, o co poprosił. Krótkie spotkanie dobiegło końca. Pocałowaliśmy się; mężczyźni go zabrali.

To była długa, bardzo długa droga do domu. Czułam, jak ciężar mnie przygniata. W połamanych fragmentach rozproszone myśli biegały mi po głowie. Jediną nadzieją na pomoc mężowi było zorganizowanie petycji. Czy to pomoże? Muszę to zrobić. Okazało się jak mało rozumieliśmy sposób działania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości. Najwyraźniej z powodu petycji mój mąż zaczął być uważany za niebezpiecznego człowieka, który miał wpływ na ludzi. Skąd ktokolwiek mógł to wiedzieć? Zamiast mu pomóc, pogorszyłem sprawę.

Następnego dnia, w zimny, suchy poranek, jechałam drogą na rowerze. Miałam gotową petycję do podpisania. Kiedy przejeżdżałam przez las, spotkałam jednego ze znajomych mieszkańców wioski. Zatrzymał się na pogawędkę, a ja powiedziałam mu, jaki jest cel mojej wizyty w wiosce i że zamierzam dowiedzieć się czegoś o pracy w szkole. Podczas gdy rozmawialiśmy, dogonił nas starszy mężczyzna, niemy żebrak. „Czy chcesz, żebyś przepowiedział ci przyszłość?” – zapytał mieszkaniec wioski – „Ten człowiek potrafi przepowiedzieć przyszłość jak prorok”. Przystałam na tę propozycję. Żebrak przepowiadał przyszłość gestami, które mieszkaniec wioski interpretował słowami. Powiedziano mi, że zostanę zabrana do odległych krajów. Miałam przepłynąć wielkie, wielkie morza i nigdy nie wrócić. Powinnam dbać o nogi i zdrowie. Będę bogata. Dałam żebrakowi trochę pieniędzy i rozstaliśmy się.

Posłałam do sklepu w naszej wsi. Sklepikarzami byli Polacy. Przywitali mnie serdecznie, a ja zapytałam o szkołę. Tak się złożyło, że wieczorem miało się odbyć zebranie w naszej szkole, aby omówić nowy marksistowski sposób nauczania i zorganizować otwarcie szkoły. Sklepikarze zaprosili mnie, abym została do wieczora. Rozmawialiśmy prawie szeptem. Zapytałam, dlaczego mówimy tak cicho. Wyjaśnili, jak łatwo można zostać aresztowanym za wypowiedzenie kilku nieostrożnych słów skargi na panujący nowy porządek. W wiosce byli ludzie, którzy szpiegowali, podsłuchiwali za oknami, aby złożyć raport milicji. Zebrałam kilka podpisów pod moją petycją i wróciłam do sklepu, gdzie zostałam do wieczora. W towarzystwie sklepikarzy, których dzieci były w wieku szkolnym, zostałam wpuszczona do klasy na zebranie. Na ścianie wisiał tylko wielki

portret Stalina. Zapytałam, czy mogłabym zacząć uczyć z nowym zespołem nauczycieli. Odpowiedź przewodniczącego była szokująca. „Czasy się zmieniły – powiedział. Szkoła będzie naszą białoruską szkołą z naszym językiem i komunistycznymi metodami nauczania i wychowywania naszych dzieci. Nie będzie pukania do drzwi sal lekcyjnych ani do gabinetu dyrektora i wołania »Panie, Pani«. Odtąd będą zwroty: »Towarzyszu« i »Obywatelu«. W naszej szkole nie ma miejsca dla polskiego nauczyciela”. Wyszłam. Było późno i moi dobrzy przyjaciele, sklepikarze, zaprosili mnie do siebie na noc. Przyjęłam ich ofertę z wdzięcznością. O świcie ruszyłam do domu. Po drodze myślałam o naszej szkole. Zmieniała się dramatycznie w tak krótkim czasie. Wyglądała brudno i pusto. Na ścianach nie było żadnych obrazów, na półkach żadnych książek. Na dużym placu zabaw zauważyłam pozostałości dużego ogniska. Spłonęły książki, obrazy i sprzęt. Jakie to dziwne, że aby promować nowe, trzeba zabijać, wymazywać, burzyć stare, a potem zaczynać od zera, aby zbudować nowego człowieka i nową kulturę Wschodu, bez religii i etyki. Nie dekalog, ale zasady partyjne będą naszymi nowymi przykazaniami. Mieli rację; w ich szkole nie było dla mnie miejsca. Miałam przed oczami ogromny portret Stalina wiszący na ścianie klasy. Patrzył z niego surowo i był zdecydowany zwyciężyć i zniszczyć.

Następnego dnia udało mi się odwiedzić jeszcze dwie wsie i zakończyć w Gliniszczach⁹, gdzie zachorowałam. Byłam w takim stanie, że nie było mowy o jeździe na rowerze. Miałam wysoką temperaturę. Ostatni wieśniak, który podpisał petycję, zabrał mnie do domu swoim wozem. Kilka dni wcześniej dostałam zakażenia na palcu w wyniku przypadkowego przekłucia palca igłą podczas szycia ciepłej kamizelki dla męża. Zaniechałam założenia opatrunku i zastosowania środka dezynfekującego. Kiedy dotarłam do domu, byłam półprzytomna. Józef pobiegł po moją siostrę Janinę, która mieszkała w wynajętym mieszkaniu niedaleko. Siostra zadzwoniła do lekarza, który przepisał antybiotyki. W tamtym czasie brakowało leków i moja siostra z kuzynką Marią rozpoczęły ich poszukiwanie. Odwiedziły każdą aptekę w mieście i otrzymały przepisaną ilość tabletek. Janina i Maria opiekowały się mną i chłopcami.

Przypadkiem spotkałam młodą dziewczynę, która była moją uczennicą. Poprosiła mnie, abym pozwoliła jej zamieszkać z nami,

⁹ Położona na bagnistym terenie wieś, na południe od Baranowicz, nieopodal wspomnianego wcześniej Grabowca.

a w zamian pomogłaby w pracach domowych. Chętnie się zgodziłam. Nina była dobrą i kochaną dziewczyną. Dobrze było ją mieć, ale z czasem stwierdziłam, że nie mogę jej zatrzymać. Nie miałam dość pieniędzy, żeby wykarmić jeszcze jedną osobę. Musiałam rozstać się z Niną. Kiedy jeszcze leżałam w łóżku, odwiedziła mnie żona naszego szkolnego woźnego. Widząc mnie w łóżku, zmienioną przez chorobę, rozpłakała się. Opowiedziała mi, jak ludzie byli zawiedzeni komunistami. Nie spodziewali się, że dzień po dniu będą pracować dla nowego reżimu za darmo. Ludzie na wsiach byli biedniejsi niż wcześniej i bali się. Kiedy temperatura wróciła do normy, przeszłam operację palca.

Podczas mojej choroby dzieci były bardzo dobre i pomocne. Rozumiały trudności w naszym życiu. Próbowaly posprzątać dom, a nawet pomagały w gotowaniu. Godzinami stały w długich kolejkach po nasze zakupy. Jednak nikt nie był w stanie pomóc z największym problemem: pieniądze. Jak mogłabym dla nas zarobić na życie? Gdy tylko mogłam się poruszać po domu, przekazałam petycję do N.K.W.D. Poinformowali mnie, że mój mąż przebywa w więzieniu. Miał proces i został skazany na dziesięć lat ciężkich robót w obozie jenieckim daleko na północy Rosji, ponieważ był wrogiem państwa.

Aby dać mu paczkę, musiałabym uzyskać pozwolenie. Od tego momentu zaczęły się moje niekończące się podróże od N.K.W.D. po przepustkę, aby później dojść pieszo do odległego więzienia na obrzeżach miasta. Czasami chłopcy szli ze mną, a kilka razy Józef szedł sam, aby dostarczyć paczkę. Nie mogłam mu dać nic poza kawałkiem chleba z masłem i ręcznie uszytą ciepłą bielizną. Nigdy nie mogliśmy go zobaczyć. Paczki oddawano strażnikowi przy bramie więzienia. Bardzo potrzebowałam pieniędzy, więc wynajęłam frontowy pokój w swoim mieszkaniu dwóm paniom, nauczycielkom, narodowości ukraińskiej. Pracowały we wsi oddalonej o dziewięć kilometrów od Baranowicz. Codziennie dojeżdżały do szkoły na rowerach. Wieczorami rozmawialiśmy. To były długie rozmowy. Dziewczyny otwarcie przyznały się do rozczarowania komunistami. Oczekiwały podniesienia całej Ukrainy do rangi suwerennego państwa. „Wy, Polacy, straciliście swój kraj, a my nic nie zyskaliśmy” – mówiły. Pogoda w październiku zmieniła się w mroźną mżawkę i wiatr. Po kilku tygodniach rzuciły pracę i wróciły na południe Polski, gdzie miały lepsze warunki. Mieszkanie nad nami było puste, kiedy profesor przeprowadził się z rodziną do Warszawy. Zostało

zarekwirowane dla członka N.K.W.D. Zajął mieszkanie bez mojej zgody. Wkrótce z Rosji przyjechała do niego jego żona z dzieckiem. Straciłam wszelkie prawa do tej części mojego domu.

REFERENDUM

W październiku 1939 roku obywatele otrzymali dowody osobiste i zostali wezwani do lokali wyborczych, aby głosować za przyłączeniem wschodniej części Polski do Związku Radzieckiego. Grabieże komunistów musiały zostać usankcjonowane przez naród. Obywatele polscy musieli prosić o wzięcie ich pod władzę Związku Radzieckiego. Następnie, już jako obywatele Związku Radzieckiego, każdy musiał ubiegać się o rosyjski paszport. Jakoś mi się to nie udało.

Zima 1939–40 była ponura i smętna. Średnia temperatura wynosiła minus 40 stopni. Od listopada padał gęsty śnieg. Miasto uległo całkowitej przemianie. Od końca września na ulicach pojawiło się wielu obcych ludzi. Byli to żołnierze Armii Czerwonej. Byli przeważnie niscy i mieli szarą cerę niedożywionych ludzi. Nosili kudłate szare mundury i karabiny przymocowane na sznurkach. Palili ręcznie robione papierosy, zawijając tytoń w kawałek gazety. Rozmawiali z miejscową ludnością o wolności i szczęśliwym życiu w Związku Radzieckim. Dowodem ich wysokiej kultury był sposób, w jaki wycierali nos dwoma palcami, trzymając głowę zwróconą w stronę chodnika, a następnie kończąc ceremonię wycierania nosa chusteczką. W porze posiłków żołnierze okupowali wszystkie restauracje i stołówki. Kupowali zegarki, aparaty fotograficzne, galanterię i artykuły spożywcze, a zakupy wysyłali do rodzin w Związku Radzieckim.

Wkrótce kolejna „armia” wkroczyła do Baranowicz. W swoich tanich, obskurnych garniturach wyglądali żałośnie. Armia ta miała spełniać główne zadanie ogołocenia Polski z kapitalizmu. Byli to wszelkiego rodzaju prowokatorzy, urzędnicy, nauczyciele i instruktorzy. Oczywiście przywozili ze sobą także rodziny. Ochotniczą armią milicji zastąpiono polską policję. Mieli przy sobie broń i mieli na sobie cywilne ubrania. Liczba mieszkańców miasta wkrótce się zmniejszyła. Z kolei w więzieniu liczba ta podwoiła się, a nawet potroiła. Partie więźniów wysyłano w sposób ciągły, za każdym razem, daleko na wschód i północ Związku Radzieckiego. Ludzie w panice uciekali do zachodniej części Polski okupowanej przez Niemcy, gdzie spotkali się z takim samym terrorem. Niektórzy zostali złapani

przez Armię Czerwoną podczas przekraczania granicy i wysłani najpierw do więzienia, a następnie skierowani na Syberię.

W krótkim czasie towar w sklepach został wyprzedany. Gospodynie domowe kupowały wszystko, co mogło się przydać. Przed sklepami od wczesnego rana ustawiały się długie kolejki. Codziennie. Nasz rynek przestał funkcjonować. Wszystkie stoiska były zamknięte. W trosce o zdrowie naszych dzieci biegałam po całym mieście w poszukiwaniu oleju z wątroby dorsza. Kupiłam zapas na całą zimę. W momencie kiedy najbardziej martwiłam się brakiem warzyw, zdarzył się cud. Młody Białorusin, były uczeń mojego męża, przywiózł dwa worki ziemniaków, dużą piękną białą kapustę, duży kosz ogórków i drugi wypełniony cebulą i burakami. Zapłaciłam za całość i byłam zdumiona jego odwagą, z uwagi na to, że dostarczanie żywności polskiej żonie aresztowanego męża mogło być uznane za zdradę stanu. Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa? Ktoś z jego wioski mogłaby go oskarżyć. Taka pomoc miała ogromne znaczenie; dla nas była to kwestia przetrwania. Ostrożnie przechowywałam warzywa w naszej piwnicy. Zrobiłam kapustę kiszoną i ukisiłam ogórki.

Stopniowo nowy reżim ustanowił pewien porządek. W ciągu dwóch miesięcy po wkroczeniu Armii Czerwonej kilku chłopów wróciło na rynek z workami ziemniaków, odrobiną słoniny, kurczakami, mlekiem i jajkami. Handlowali ze swoich wózków. Jedzenie zostało sprzedane w ciągu kilku minut. Od tego dnia można było kupić żywność w czwartek, który był dniem targowym. Ludzie czekali nocami na rynku, żeby jako pierwsi mogli coś zgarnąć. Niedobór żywności sprawił, że wszyscy byli wobec siebie szorstcy i surowi. Byłam wdzięczna naszemu byłemu żydowskiemu sklepikarzowi, który przysłał swoją córkę z informacją o adresie, pod którym mogę kupić kaszę perłową i mąkę gryczaną.

Miasto ze swoimi zaspami i brudem, którego nikt nie chciał uprzątnąć, straciło swoją godność. Młode drzewa zostały połamane przez nieostrożnych kierowców jadących saniami po chodnikach pokrytych grubą warstwą śniegu. Wandale zburzyli piękny klub „Ognisko”¹⁰. Niszczyli książki, obrazy i meble. Wandalizm był odpowiedzią na deklarację, że Związek Radziecki przyniósł wolność i pokój. Gorący wiatr wiejący ze wschodu stał się nierozzerwalnie związany ze złem okupanta. Mieszczanie stracili elegancję. Zamiast

¹⁰ Do 1939 roku w Baranowiczach istniały dwa kluby piłkarskie WKS Baranowicze oraz Ognisko Baranowicze.

ładnych czapek kobiety nosiły chusty i szale. Nagle wszyscy wyglądali brzydko i biednie, nie mając nic przyzwoitego do ubrania. Ostatniego szlif tego obrazu dodawały kolejki przed w połowie pustymi sklepami. Józef lubił chodzić na zakupy. Oznaczało to co prawda stanie w kolejce, ale dobrze się tam bawił. Był niskiego wzrostu, co pozwalało mu wśliznąć się na początek kolejki. Za każdym razem miał szczęście i kupował to co chciał. Czasem potrafił kupić bochenek chleba dwa razy, stojąc w tej samej kolejce.

Od najmłodszych lat mój mąż hodował gołębie i króliki. Swojemu hobby oddawał się aż do dorosłości. Gołębie były różnego rodzaju. Były bardzo piękne i pełne wdzięku. Króliki były srebrzystoszare i miały długie, miękkie futro. Kiedy wyszłam za mąż, mój mąż miał dużą skrzydlatą rodzinę na poddaszu i liczne czworonożne rodziny w szopie. Kiedy przeprowadził się do miasta, zabrał ze sobą tylko gołębie. Trzymane były w dużych klatkach w szopie na tyłach domu. Któregoś dnia podjęłam decyzję, że gołębie „muszą odejść”. Nie mogłam ich już karmić. Poza tym potrzebowaliśmy ich mięsa. Zebrawszy się na odwagę, wzięłam topór z szopy. Potem złapałam gołębia w klatce. Trzymając ptaka mocno w lewej ręce, podniosłam topór. Po chwili wahania, zaciskając mocno zęby, uderzyłam ptaka toporem, odcinając mu głowę. Upuściłam trzepoczące ciało gołębia i topór. Moje serce biło szaleńczo. Zrobiło mi się tak słabo, że nie mogłam się ruszyć. Po prostu oparłam się o ścianę szopy. To było moje pierwsze „morderstwo”. Później mogłam zabijać już łatwiej. Można powiedzieć, że przyzwyczaiłam się do tej pracy. Jednakże nienawidziłam tego robić. Gołębie karmiły nas przez prawie trzy tygodnie. Zabiłam je wszystkie.

MARKSIZM W EDUKACJI

Nie tylko jedzenie nas zajmowało. Zmieniano także nasze metody nauczania, aby dostosować je do nowego reżimu. Na zebranie w siedzibie Kuratorium Oświaty wezwano wszystkich polskich nauczycieli z Okręgu. Nowy kurator, były nauczyciel szkoły powiatowej, poinformował nas, że musimy poznać marksistowską metodę nauczania¹¹. Dlatego polecił nam, abyśmy odbyli kurs reedukacji. Obiecano nam

¹¹ W celu sowyetyzacji otwarty został w tym czasie w Baranowiczach instytut nauczycielski.

niewielką pensję w trakcie kursu i nominację do pracy po jego ukończeniu. Od grudnia do końca stycznia 1940 roku uczęszczałam na kurs. Naszymi nauczycielami byli Rosjanie i to oni nauczyli nas społecznej metody wychowania. Większość zajęć dotyczyła marksizmu.

W tym czasie zetknęłam się z nowym podejściem ludzi do siebie nawzajem. Nikt nikomu nie ufał, nawet dobremu znajomemu, którego znało się jeszcze przed wojną. To było najgorsze, co komunizm zrobił ludziom. Napięcie, strach, podejrzliwość podyktowały nową mądrość w stosunkach z przyjaciółmi, bo każdy może być donosicielem N.K.W.D.

Po Bożym Narodzeniu mój mąż został wysłany z grupą więźniów na Syberię w północnej Rosji. Ceny rosły. Moje zarobki w grudniu i styczniu nie wystarczyły na wyżywienie rodziny. Zaczęłam sprzedawać swój majątek. Najpierw sprzedawałam motocykl męża, potem swój najlepszy lniany komplet obrusów. Następnie przyszedł czas na sprzedaż narzut i radia. W sprzedaży tych artykułów pomogli mi przyjaciele. Wschodni wiatr przyniósł prawdziwy arktyczny chłód i zmusił mnie do szukania opału. Przy odrobinie szczęścia kupiłam ładunek torfu w ceglach. Na moim podwórku po budowie domu zostało pięć dużych pni drzew. Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę je wykorzystać na opał.

Później – nareszcie praca. Na początku lutego 1940 roku zostałam powołana do gimnazjum jako nauczycielka geografii i gimnastyki. Szkoła nie posiadała dwóch klas starszych. Była to jedyna szkoła, w której lekcje odbywały się w języku polskim. W innych szkołach posługiwano się językiem rosyjskim i białoruskim. Wszystkie szkoły przyjęły nową linię nauczania. Pojawiły się zupełnie nowe podręczniki. Kiedy uczyłam „Geografii Europy”, głównym krajem, który studiowano szczegółowo, była Rosja, podczas gdy inne kraje europejskie, w tym Polska, były nauczane jedynie na poziomie informacji ogólnych. Odtąd naszą „ojczyzną” była Rosja, a nie Polska.

Opieka nad dziećmi, które w ramach protestu przeciwko uzurpatorom odmawiały nauki geografii Rosji, była niezwykle ciężka. Trzeba było uważać na każde słowo, starając się nie przekazywać „cudów” Rosji, a jednocześnie zachować obiektywizm i nie wypowiadać się przeciwko temu krajowi. Co więcej, nie wolno nam było porównywać Rosji z naszą kulturą i osiągnięciami. Nad naszą pracą czuwała „szara eminencja” – woźny naszej szkoły. Często stawał za drzwiami klasy i słuchał. Brał także udział w zebraniach nauczycieli. Wielką pomocą było to, że w takich okolicznościach grono

pedagogiczne było przyjazne i lojalne, służyło wsparciem i dobrymi radami.

Szkoła znajdowała się daleko od mojego domu. Rano miałam zajęcia z małymi dziećmi, a po południu ze starszymi klasami, mając jedną przerwę w południe. Zbyt mało było czasu, żeby wrócić do domu. Zajęcia mojego syna Jana odbywały się rano, a Józefa po południu. Zdzisław zostawał w domu sam do godziny dwunastej, ponieważ Józef rano robił zakupy. Zwykle przygotowywałam posiłek wcześniej rano i trzymałam go w piekarniku. W południe wszyscy chłopcy jedli razem ciepły posiłek, a ja wracałam do domu o piątej wieczorem. W styczniu przydzielono mi lokatora do pokoju od frontu. Ten pan, narzeczony przyjaciółki mojej siostry, był leśniczym i nazywał się Isajewicz. Prawie nie wiedzieliśmy, że tam mieszkał, ponieważ długie godziny pracował w biurze leśnym.

Czasami jego nastoletni brat przychodził spać na noc. Ten młody człowiek, uczeń szkoły, zajmował się przemytem. Zawoził towary do strefy niemieckiej, a stamtąd przywoził artykuły do sprzedaży w mieście. Wielu młodych ludzi opuściło szkołę, aby wykonywać to ryzykowne zajęcie. Na granicy musieli przekupywać strażników po obu stronach, by zapewnić sobie bezpieczne jej przekroczenie. Dołączyli także do tajnego stowarzyszenia, którego zadaniem była walka z Niemcami i Rosjanami poprzez sabotaż. Siali niepokój i wyrządzali szkody siłom okupacyjnym.

Któregoś dnia rano, przed szkołą, poszłam na rynek i szczęśliwie udało mi się kupić kawałek świeżej słoniny. Po szkole pokroiłam tłuszcz w drobną kostkę i podsmażyłam na dużej patelni. Kiedy zdjąłem patelnię z kuchenki i szłam postawić ją na stole, tłuszcz wciąż bulgotał. Nagle zderzyłem się z nadbiegającym Zdzisławem z takim impetem, że z moich drżących rąk bardzo gorący tłuszcz rozlał się po jego nodze. Nie płakał, kiedy zakładałam opatrunek. Długo trwało leczenie jego nogi.

Józef zachorował na jaglicę, chorobę oczu. Dzięki temu, że chłopcy mieli swoje własne ręczniki, nikt inny nie zachorował na tę okropną dolegliwość¹². Józef regularnie uczęszczał do kliniki i z czasem wyleczył się całkowicie.

Zajmowałam się domem, opiekowałam się synami, ale wokół nas miały miejsce wydarzenia, które na zawsze zmieniły nasze życie. Rankiem 10 lutego zauważyłem dwóch nieznajomych, a raczej

¹² Jaglica jest groźną chorobą zakaźną mogącą doprowadzić do ślepoty.

grasujących włóczęgów, niosących jakieś meble i sprzęt ogrodowy z domu po przeciwnej stronie ulicy.

Zastanawiało mnie, co stało się z rodziną, która tam mieszkała. Zналиśmy ich dobrze, a moi chłopcy bawili się z ich synem. Następnie po mieście rozeszła się wieść o wielkim pojmaniu ludności cywilnej, które miało miejsce poprzedniej nocy. Były to przeważnie rodziny żołnierzy, policjantów, leśników i właścicieli ziemskich.

Pewnej nocy we wschodniej części Polski przyłączonej do Związku Radzieckiego w 1939 roku aresztowano dużą liczbę osób. Wiele pociągów z Polakami załadowanymi do bydłych wagonów wyruszyło na Syberię, a niektóre na stepy Kazachstanu i Kirgizji. Mój ojczym został aresztowany, a matka została wywieziona na Wschód. Krewni i przyjaciele śpieszyli się tej nocy na stację kolejową, aby podać swoim bliskim chleb lub pieniądze. Wszystkich pogrążył smutek.

Nasz lokator zniknął przed tą pamiętną nocą. Nigdy nie wrócił ze swojego biura. Nigdy też nie dowiedziałam się, co się z nim stało. Jego narzeczona przyszła odebrać rzeczy.

Po tej okropnej nocy moja siostra postanowiła u nas codziennie nocować. Chciałyśmy być razem w razie gdyby komuniści przyszli po nas.

Zdzisław dostał swędzącej wysypki. Lekarz stwierdził, że to świerzb. Co wieczór zmieniałam mu ubranie, myłam i nacierałam ciało paskudnym, śmierdzącym, tłustym, szarym kremem. Rano wymieniłam całą jego pościel na czystą. Codziennie nagromadzało się dużo prania. Było to czasochłonne, a dziecko cierpiało. Po upływie dwóch tygodni nie widziałam żadnej poprawy. Zabrałam go do kliniki dziecięcej. Tam lekarz określił jego dolegliwość jako alergię. Poradził mi, abym wyeliminowała z jego diety jajka i mleko. Dzięki lekowi i diecie Zdzisław wyzdrowiał.

Stopniowo, zajęte problemami i codziennymi obowiązkami, obie z siostrą zapomniłyśmy o panice. Życie stało się prawie normalne i zaczęłyśmy wierzyć, że jesteśmy bezpieczne. Na początku kwietnia razem z siostrą uznałyśmy, że nie ma już potrzeby zostawiania jej u nas na noc, a stan Zdzisława też się poprawiał.

Tej nocy obudziło mnie głośne pukanie w przednią szybę. W słabym świetle rozpoznałem żołnierza z bronią i milicjanta. Szybko się ubrałam i otworzyłam drzwi. Wchodząc do pokoju zażądali okazania wszystkich moich dokumentów i zdjęć. Poinformowali mnie o transporcie mojej rodziny i dali mi godzinę na przygotowanie się do opuszczenia domu. Pomogłam dzieciom się ubrać i zaczęłam się

pakować. Na moje pytanie, dokąd mnie zabierają, powiedziano mi: „Na Wschód, gdzie będziesz pracowała tak samo, jak tutaj. Nie powinnaś się martwić, ponieważ tam będziesz miała wszystko, czego potrzebujesz. Spotkasz swojego męża”. W pośpiechu spakowałam wszystkie ubrania i pościel w prześcieradła, wiążąc je w tobołki.

Po masowym wywozie w lutym ludzie rozmawiali i rozpowszechniali plotki. Przerażona i nieświadoma myślałam, że nie wolno pakować się w walizki i kufry. Nawet smalec wyjęłam z drewnianej skrzynki i zawiązałam go w tobołek. Spakowałam piec primus¹³, naftę, spirytus, zapalki, patelnie, czajnik i kilka sztućców. Nasz dobytek uzupełniały kubki, talerze, dwa wiadra, duża miska, siekiera i piła. Brakowało nam jedzenia i pieniędzy. Zanim komuniści przejrzeliby dokumenty, byliśmy już gotowi. Oddali wszystkie papiery, zabierając część fotografii. Wyszliśmy z domu, zamknęłam drzwi i dałam klucz żołnierzowi. Załadowano nas do ciężarówki i po raz ostatni w życiu przejechaliśmy ciemnymi uliczkami Baranowicz.

Dowieźli nas na stację, gdzie było już dużo ludzi z miasta i powiatu. Załadowano nas do bydłowych wagonów z uchylonymi drzwiami. W wagonie znaleźliśmy miejsce na deskach blisko małego okna wysoko na ścianie. Ciemność nocy zmieniła się w szary świt. Do wnętrza wkradł się poranny chłód. Na zewnątrz pociągu panował gwar, wielu ludzi komenderowanych przez strażników poruszało się pospiesznie. W ciągu dnia ludzie stale przybywali i wypełniali wagony bardzo długiego pociągu.

Potem usłyszałam zamieszanie przy wejściu do wagonu. Dwie kobiety i starszy mężczyzna kłócili się z naszym strażnikiem. Wszystko wskazywało na to, że jedna z kobiet, żona oficera, była w ciąży. Błagali, żeby nie zmuszać jej do podróży, bo w każdej chwili może urodzić dziecko. Po długiej kłótni strażnik zabrał ich na stację. Wrócili bez brzemiennej kobiety. Mogła pozostać w domu. Nigdy nie ujawnili w jaki sposób udało im się przekonać N.K.W.D.

Drzwi wagonu zamknęły się z hałaśliwie dudniąc. Byliśmy w pełni załadowani. Nagle na peron wtargnął ogromny tłum ludzi. Poruszali się szybko, wykrzykując nazwiska, pukając do zamkniętych drzwi, szukając przyjaciół i swoich bliskich. Chłopcy wyglądając przez okno, zauważyli moją siostrę. Zaczęliśmy do niej krzyczeć. Usłyszała, podeszła do naszego wagonu i podała przez okno pieniądze i duży bochenek chleba. Żołnierze odpychali ludzi. Ją też

¹³ Rodzaj przenośnego palnika na paliwo płynne.

popchnęli. Pociąg ruszył i wszyscy zrobili znak krzyża. Pociąg wyjechał ze stacji, w pewnej odległości zmienił tor i wrócił na stację. Żołnierze otworzyli drzwi i wezwali ochotników do przyniesienia przegotowanej wody. Pod okiem żołnierzy po dwie osoby z każdego wagonu poszły na stację z dwoma wiadrami. Napełnili wiadra wrzącą wodą z kranu umieszczonego na zewnętrznej ścianie.

Wszyscy starali się sobie pomóc. Dzieliśmy się wodą i parzyliśmy herbatę lub kawę z naszego zapasu żywności. Pozwolono nam na wiadro pełne zimnej wody na cały dzień. Podczas podróży powtarzaliśmy tę procedurę każdego ranka. Bardzo późno w nocy zjedliśmy miskę zupy. Po śniadaniu drzwi zamykane były szczelnie. Pociąg jechał szybko. Mijaliśmy wiele znanych stacji, zmierzając w kierunku wschodniej granicy. Potem pozostała już tylko ostatnia polska stacja.

Byłam oszołomiona. Wszystko działo się bez naszej woli, jakbyśmy byli przedmiotami, którymi można się bawić. Nie mogłam pojąć całej tragedii tej sytuacji, bo byłam oszołomiona i miałam pustkę w głowie. Patrzyłam na innych, i oni również byli zdezorientowani. Patrzyłam na nasz „obecny dom”. Na dwóch końcach znajdowały się podesty przypominające drugą kondygnację lub podest z drewnianych desek. Siedzieliśmy i spaliśmy na górze, a ludzie przechowywali swoje rzeczy pod spodem.

Otwór w podłodze naprzeciwko drzwi wejściowych miał służyć jako toaleta. Korzystanie z niej wobec innych osób było krępujące. Wyciągnęłam więc z bagażu prześcieradło i powiesiłam je jako parawan wokół otworu.

Zatrzymaliśmy się w pierwszym większym mieście, Mińsku, żeby zaczerpnąć wody. Później pociąg nigdy nie zatrzymywał się na dużych stacjach; te mijaliśmy w nocy. Mniejsze stacje, na których się zatrzymywaliśmy robiły smutne wrażenie. Były odrapane. Od czasu rewolucji nigdy ich nie remontowano.

Rosjanie sprzedawali mleko, bo nie mieli nic innego do zaoferowania. Monotonne krajobrazy, stare budynki, biedni i smutni ludzie tworzyli obraz życia ciężkiego i beznadziejnego. Jechaliśmy dzień i noc z taką szybkością, jak gdyby nasz bydlęcy pociąg był ekspresem. Pilnowali nas żołnierze i poza nosicielami wody strażnicy i nikomu nie pozwalali wyjść z wagonów. Drzwi były zawsze zamknięte.

Ludzie wewnątrz zaczęli rozmawiać, poznawać się. Nie zapamiętałam ich ani też nie pamiętam ilu ludzi było w wagonie. Chłopcy byli bardzo spokojni, spędzali dni, wpatrując się w dziwny krajobraz, jak w wielki film na kinowym ekranie.

Pewnego dnia wjechaliśmy w łańcuch Uralu – granicę Europy. Pociąg jechał pod górę. Widok był niezwykle piękny. Opuszczaliśmy Europę, jadąc drogą, którą nasi przodkowie stąpali pieszo w łańcuchach, popychani przez żołnierzy na śmierć w kopalniach ołowiu lub by zginąć w okropnych warunkach. Ich grzechem była miłość do ojczyzny.

Dlaczego wszyscy pasażerowie tego pociągu zostali zmuszeni do wyjazdu w nieznane, rozdzieleni z ojcami, mężami, braćmi, którzy zostali skazani na ciężką pracę na północy Związku Radzieckiego? Bo byli Polakami.

Kiedy minęliśmy Ural, pociąg zatrzymał się na pustkowiu. Jak okiem sięgnąć roztaczał się step. Żołnierze otworzyli drzwi. Pozwolono nam wyjść. Ludzie wbiegali w step i nie zważając na to, że inni ich widzieli, załatwiali swoje potrzeby. Potem raz dziennie pozwolono nam wyjść do toalety na zewnątrz. Zaczęliśmy też codziennie dostawać kawałek chleba. Dzieci dostawały pół litra mleka dziennie. Czternastego dnia wjechaliśmy do Pietuchowa w północnym Kazachstanie.

Był poranek. Policja i członkowie N.K.W.D sprawdzili każdy wagon w długim pociągu. Zaczęli przeładunek stopniowo wagon po wagonie. Podczas procedury inny pociąg zatrzymał się na stacji tylko na kilka minut, po czym odjechał. Ludzie stojący na peronie zaczęli krzyczeć. Kobiety krzyczały. Wkrótce wszyscy dowiedzieli się o tragicznym wypadku. Młoda kobieta, żona polskiego oficera, popełniła samobójstwo rzucając się pod nadjeżdżający pociąg. Zginęła natychmiast. Zostawiła dwójkę małych dzieci, którymi nikt nie mógłby się zająć, więc trafiły pod opiekę miejscowego sierocińca.

Nasz pociąg odjechał bez nas. Na peronie pozostał tłum dzieci, kobiet i starców. Niektórzy udali się na stację w poszukiwaniu jedzenia. Nie było żadnego. Mieliśmy mnóstwo przegotowanej wody z kranu na stacji. Na koniec podzielono nas na grupy, które miały zostać rozdzielone do jednostek gminnych zwanych kołchozami i gospodarstw rządowych zwanych sowchozami. O zmroku nasza grupa została załadowana na dużą ciężarówkę i ruszyliśmy do celu. W kwietniu noce są bardzo zimne. Ciężarówka jechała szybko, a prędkość wzmagająca chłód wiatru wdzierającego się przez nasze ubrania. Całą noc jechaliśmy pozornie niewidzialną drogą. Na rozległym dywanie stepu pozostawał tylko ciągnący się po horyzont ślad po ciężkich kołach pojazdów. Miejscami rosły, nękanie ciągnął wiatrem, małe brzoźowe laski o poskręcanych pniach.

Rano dotarliśmy do Sowchozu N2, gdzie produkowano mięso i mleko. Zakład znajdował się w rejonie presnowskim w obwodzie pietropawłowskim w północnym Kazachstanie.

Sztywni i zmarznięci zeszliśmy z ciężarówki przed klubem. Weszliśmy do dużego pokoju bez żadnych mebli. Na ścianie wisiał duży portret Stalina. Usiedliśmy na podłodze w grupach rodzinnych i podano nam przegotowaną wodą do zaparzenia herbaty. W pobliskim sklepie za kilka rubli można było kupić bochenek chleba. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się toaleta do użytku publicznego, wykonana z nieobrobionych desek z dziurą w środku. Był to jedyny „egzemplarz” w całym gospodarstwie. Wszyscy bardzo potrzebowaliśmy porządnej kąpieli i zmiany ubrania. Ludzie z sowchozu patrzyli na nas z ciekawością, niektórzy ze złością. Powiedziano im, że przybyliśmy do nich z własnej woli, aby poprawić swój standard życia. Byli źli, że przyszliśmy jeść „ich” chleb, którego sami często nie mieli dość.

W ciągu kilku następnych dni osoby samotne i małe rodziny zostały umieszczone w rodzinach rosyjskich i ukraińskich robotników. Dla większych rodzin zaadoptowano do zamieszkania starą dużą stodołę. Rodziny zajmowały jej część stosownie do liczby swoich członków. Podłoga była goła z twardej ziemi, w dachu były dziury, a dwa małe pojedyncze piece pośrodku pokoju były zrobione z cegieł i trzeba było z nich korzystać wspólnie. Kilka osób, mających pieniądze, połączyło siły, aby kupić małe, jednoizbowe domy od wyjeżdżających robotników rolnych. Jeden pokój oznacza, że w domu było tylko jedno pomieszczenie do zamieszkania i gotowania. Nic więcej.

Moją czteroosobową rodzinę wraz z siedmioosobową rodziną Czapskich przeniesiono do mniejszego pomieszczenia, jakim była biblioteka klubowa.

Korzystając z pomocy kierownika klubu, sprzedałam garnitur męża dyrektorowi, który załatwił mi też dołączenie do jednego z robotników jadących do kołchozu. Kupiłam tam ziemniaki, masło, kilka warzyw i kawałek mięsa wieprzowego. Ugotowałam nasz posiłek na primusie. Był to pierwszy posiłek, jaki jedliśmy, od opuszczenia domu.

Podczas pobytu w klubie postanowiłam dowiedzieć się o możliwość zatrudnienia na stanowisku nauczyciela. Spotkałam jeszcze trzech polskich nauczycieli. Dwóch z nich, tak jak ja, pracowało w Polsce w szkołach wiejskich, trzeci był matematykiem zatrudnionym w miejskim gimnazjum. Najpierw pojechaliśmy do miejscowej szkoły, żeby porozmawiać z dyrektorką. Poinformowała nas, że

Powiatowy Kurator Oświaty zajmuje się pozyskiwaniem i nominacją nauczycieli do szkół. Podała nam jego adres w Presnówce. Następnie udaliśmy się do gabinetu dyrektora, aby poprosić o transport. Wyjaśniliśmy, z jakiego powodu chcieliśmy jechać do Presnówki. Nasza prośba została spełniona. Dyrektora ds. oświaty wyraźnie rozbawiła nasza nadzieja na zatrudnienie w szkole. Jakkolwiek grzecznie powiedział „Bardzo się cieszę, że mogę zaoferować wam godną pracę w szkole. Właśnie budujemy nową szkołę i potrzebujemy pracowników do kopania rowów pod bazę”. Podziękowaliśmy mu za ofertę pracy, jednak odmówiliśmy jej przyjęcia. To był koniec iluzji znalezienia pracy na miarę naszych możliwości. Wracając do sowchozu, nie rozmawialiśmy. Każdy z nas żałował, że nie ma innych przydatnych kwalifikacji.

Wkrótce zauważyłam, że na właściwych stanowiskach zatrudniani są ludzie posiadający odpowiednie umiejętności. Polka księgowa dostała pracę w biurze dyrektora i mieszkanie dla swojej rodziny. W warsztacie zatrudniono mechanika; pielęgniarki i siostry pracowały w szpitalach. Tylko nauczyciele byli na czarnej liście i wiedzieliśmy dlaczego. Nie nadawaliśmy się do szkół w Związku Radzieckim.

Przez kolejne dni miałam okazję poznać lepiej gospodarstwo. Była to duża osada rolnicza zbudowana wokół obszernego placu, który miał dwie długie ulice biegnące równolegle, a pomiędzy nimi rósł niewielki las.

Wzdłuż tych ulic w domach z darni mieszkali robotnicy. Wokół placu znajdowały się ważne urzędy; dyrekcja, administracja, Sielso-wiet¹⁴, szkoła, przychodnia, sklep, klub i murowane domy dla personelu.

W gabinecie pierwszej pomocy udzielała młoda Rosa, asystentka chirurga narodowości kazachskiej. Była córką zmarłego dyrektora, którego za zasługi upamiętnił pomnik na placu. Klub znajdował się na końcu dolnej ulicy. Za klubem, wzdłuż ulicy, znajdowała się piekarnia i pomieszczenie, w którym samotni pracownicy mogli zjeść obiad. Następnie rozciągał się długi rząd domów robotniczych. Po przeciwnej stronie klubu znajdował się warsztat stolarski, jedyna publiczna toaleta, studnia, łaźnia, dom brygadiera i domy robotnicze. Ścieżka przez las prowadziła do górnej ulicy, która wychodziła z drugiego rogu placu. Po tej stronie znajdowała się „Radiotoczka” i we wszystkich domach w gospodarstwie zamontowano głośniki,

¹⁴ Rada wiejska.

aby można było słuchać jedynie audycji nadawanych przez lokalne radio, głównie ze Świerdłowska.

Liczne stajnie, obory i wybiegi dla cieląt tworzyły duży kompleks blisko studni z kołem na wysokim maszcie w stylu amerykańskim i długimi poidłami dla bydła. W okolicy znajdowały się także stodoły i mleczarnia produkująca ayran, czyli sfermentowane mleko o niskiej zawartości tłuszczu oraz abrat, mleko bez śmietanki, a także masło. Na obrzeżach folwarku rozsiane były jednostki usługowe, m.in. młyn, warsztat naprawy maszyn rolniczych, cegielnia produkująca cegły prymitywną metodą oraz laboratorium sztucznego zapłodnienia bydła. Na samym końcu, za górną ulicą, w lesie znajdowało się ambulatorium dla chorych zwierząt oraz dom weterynarza i pasterza.

Nasze gospodarstwo N2 było gospodarstwem głównym, do którego przynależały N1 i N3. Na koniec przenieśli nas do naszych kwater mieszkalnych, urządzonych w dawnej oborze.

Dom stał niedaleko górnej ulicy, blisko rzadkiego lasu brzoźowego; od dolnej ulicy oddzielały go niewielkie krzewy. Długi korytarz dzielił wnętrze budynku na dwie części. Na korytarzu znajdowały się drzwi do jednopokojowych mieszkań, każde z jednym oknem i dużym rosyjskim piecem. Ściany wewnętrzne wykonano ze skręconych gałązek pokrytych grubo tynkiem z błota i krowiego łajna. Nasz pokój znajdował się na końcu korytarza, miał okna po obu stronach, mały stolik i trzy ławki. Musieliśmy się tym podzielić z rodziną Czapskich. Miałam trzech chłopców, a ona dwie niezamężne siostry w średnim wieku i cztery córki. Pokój był za mały, aby pomieścić jedenaście osób. Na podłodze nie było wystarczająco dużo miejsca do spania. Czapska zajęła część pokoju z piecem i dwie ławki. Dzień po naszej przeprowadzce wezwano wszystkich Polaków do biura brygadzysty, gdzie zapoznano nas z zasadami życia panującymi w tym miejscu.

„Kto nie pracuje, ten nie będzie jadł. Dlatego od jutra zaczniecie pracować z całą swoją rodziną. Będiesz pracowała na polu, pieląc pszenicę” – zakończył zarządca.

Już od wczesnego rana pod przewodnictwem brygadzystki, kobiety w średnim wieku, którą nazwalibyśmy „osobą dowodzącą”, odchwaszczaliśmy pszenicę na dużym obszarze pól. To był bardzo gorący majowy dzień i wszyscy byliśmy spragnieni. Na końcu pola w małym zagłębieniu zacienionym przez małe krzewy było trochę wody. Ponad nim unosiły się różne owady, niektóre ślizgały się po powierzchni. Woda falowała od aktywności małych stworzeń. Patrzyłam na wodę z suchością w ustach i nie miałam odwagi pić. Inne

kobiety i brygadzystka podeszły bliżej. – „Z wodą nie ma nic złego. Użyj chusteczki i pij przez nią. Przyzwyczaisz się do picia za pomocą rąk” – powiedziała. Poszłam za jej radą. Inni też. Woda była zimna i smaczna. Przez około dwa tygodnie kontynuowaliśmy odchwaszczanie w różnych częściach gospodarstwa.

Od pierwszej nocy w naszym „domu” dopadła nas plaga wszy. Poprzedni lokatorzy pozostawili je ukryte w pomieszczeniu. Teraz głodne zaatakowały nas wszystkich. Trudno było pozbyć się szkodników. Codziennie dokładnie sprawdzałam nasze ubrania i głowy. Zabijałam je i usuwałam jajka.

Od dnia, w którym rozpoczęliśmy pracę, zmieniły się warunki naszego życia w sowchozie. Tylko robotnicy mogli kupować w sklepach swoją porcję chleba (lecz nie cały bochenek), mielić pszenicę w młynie, zbierać suche drewno na opał i korzystać z innych obiektów. Przestaliśmy być „gośćmi” i zaczęto nas traktować „na równi z obywatelami Związku Radzieckiego”. Praca była słabo opłacana. Pieniądze, które uzyskałam ze sprzedaży garnituru, zniknęły zbyt szybko. Wspomagałam się sporadyczną sprzedażą swoich ubrań w gospodarstwie lub na targu w Presnówce – albo za pieniądze, albo w zamian za żywność w kołchozie. Pokonywałam długie dystanse, wracając niosłam ziemniaki, chleb, mąkę, a czasem zboże.

Pewnego dnia wydarzył się cud. Moja mama przyjechała, żeby do mnie dołączyć. Znalazła nas przez moją siostrę, do której regularnie pisałam. Moja mama uzyskała zgodę N.K.W.D. na przyłączenie się do mnie i zapewniono jej jakiś transport. To było zrządzenie opatrności, że moja siostra została w Polsce. Bez niej nigdy nie moglibyśmy skontaktować się z moim mężem, ojczymem czy mamą. Jednak jeszcze jedna osoba w pokoju spowodowała, problemem ze spaniem. Zdzisław, który dzielił ze mną ławkę, musiał spać na stole. Jan i Józef spali na podłodze, a moja mama i ja na wąskiej ławce. I mieliśmy więcej „gości” – pluskwy. Były koszmarem. Nie mieliśmy świateł ani lamp, więc moja mama jedną wymyśliła. Użyła małej butelki z naftą i knota zrobionego ze zwiniętych włókien bawełny. W nocy dawało to trochę światła, aby sprawdzić, czy nie ma pluskiew.

Molestowały moich chłopców, zwłaszcza Zdzisława śpiącego na stole. Chowali się w szczelinach stołu i chłopiec stawał się łatwą ofiarą. Kilka razy w nocy zapalaliśmy z mamą lampę, żeby złapać owady na jego ciele. Zdzisław zachorował na biegunkę, na którą Rosa, asystentka chirurga, nie miała lekarstwa, gdyż przyczyną choroby była woda ze studni. Minerale rozpuszczone w wodzie miały

właściwości przeczyszczające. Chłopiec bardzo osłabł i musiałam go często wynosić na dwór, aby mógł korzystać z toalety za krzakami. Wszyscy ludzie korzystali w tym celu z naturalnego środowiska. Brak toalety stał się problemem zimą. Zdzisław chorował aż do pierwszego śniegu. Mama zaczęła podawać mu przegotowaną wodę ze stopionego śniegu, a potem suszone jeżyny, które przysłała mi siostra. To pomogło mojemu chłopcu w całkowitym wyzdrowieniu. Z czasem przyzwyczał się do wody ze studni i jej soli mineralnych. Tak jak my wszyscy.

OPOWIEŚĆ MOJEJ MATKI

1939–1940

Przez długie tygodnie dowiadywałam się od mamy, co się z nimi stało, gdy Armia Czerwona wkroczyła do Polski. Oto co mi powiedziała:

W ciągu ostatnich kilku lat na białoruskich wsiach prowadzono silną propagandę, mającą na celu wzbudzenie nienawiści do Polaków. Agenci komunistyczni organizowali szerokie sieci tajnych komitetów, które działały stopniowo, ogarniając całe społeczności wiejskie. Gdy tylko Armia Czerwona przekroczyła granicę wzdłuż wschodniej części Polski, rozpoczęła się akcja przeciwko narodowi polskiemu.

W naszym sąsiedztwie była mała wioska Romaszki¹⁵. Jej mieszkańcami byli Białorusini, którzy zawsze utrzymywali dobre relacje z naszym gospodarstwem. Pomagaliśmy sobie nawzajem. Chłopi wykorzystywali nasze pastwiska do wypasu krów, płacąc za to kilkudniową pracę na polu w czasie żniw. Dzielili część naszych pól uprawnych, siejąc kukurydzę i odpłacając się częścią swoich plonów. Dzięki tym ustaleniom wszyscy byli zadowoleni. Zналиśmy każdą rodzinę w Romaszkach. Mieliśmy wśród nich naprawdę prawdziwych przyjaciół. Oczywiście wioska odwiedzana też była przed podżegaczy, lecz nie odnieśli oni większego sukcesu.

Od 17 września, czyli od dnia wkroczenia Armii Czerwonej, mieszkańcy wsi zaczęli atakować polskich właścicieli ziemskich,

¹⁵ Folwark Romaszki położony był około 20 km na wschód od Baranowicz, nad jednym z dopływów rzeczki Wiedźmianka.

niezależnie od tego, czy był to duży majątek ziemski, małe gospodarstwo czy gospodarstwo rolne. Niszczyli dobytek i zabijali właścicieli.

Słyszeliśmy o tych okropnych czynach i zdaliśmy sobie sprawę, że to może nas spotkać w każdej chwili. Pewnej nocy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Drzwi otworzył mój mąż, żeby wpuścić wieśniaka, naszego znajomego z Romaszek. Był w stanie wielkiego wzburzenia.

– Duży tłum wieśniaków zaczął atakować polskich rolników w pobliskich gospodarstwach. Mój syn słyszał, że dzisiaj jadą do was. Przyjdźcie do mojego domu. Musicie się ukryć dopóki zły czas nie minie – błagał.

Pospiesznie spakowaliśmy kilka rzeczy do tobołków, zabraliśmy trochę jedzenia, po czym obudziliśmy pannę Józefę, starszą mieszkankę. Miała ponad dziewięćdziesiąt lat i była lekko zdezorientowana. Kiedy rozpoznała wieśniaka, pozwoliła mu się nieść bez obaw. Nasi pachołkowie uciekli.

Ukryliśmy się na strychu w domu wieśniaka. Rano przybył tłum szalejących chłopów pod wodzą komunistów. Z krzykiem i hałasem zaczęli niszczyć Dwór. Wyważono drzwi, wybito okna. Włamali się do domu i zdewastowali go, zabierając dla siebie wszystko, co mogło im się przydać. Doszczętnie zdewastowali spiżarnię i kuchnię. Następnie rozpoczęli dzieło zniszczenia całej posiadłości. Zabrali maszyny, zwierzęta i drób.

Hałas wywołał zamieszki we wsi Trubowicze po drugiej stronie rzeki. Przybiegli, by dołączyć do dewastacji. Opróżnili stodołę z kukurydzy, siana i słomy. Wykopali ziemniaki, które przechowywano na zimę.

Jakby tego było mało, w nowym sadzie wycięto kilka młodych drzewek owocowych. Był już zmierzch, gdy wandale odeszli, pozostawiając po sobie zdewastowaną posiadłość.

Kolejne dwa dni spędziliśmy w ukryciu, aby upewnić się, że żaden z wandali nie czai się w okolicy. Potem wróciliśmy do domu.

Grupa wieśniaków, mężczyzn i kobiet, poszła za nami z ciekawości. Kobiety najpierw zajrzały do kuchni i spiżarni. Widok pustych i zdewastowanych wnętrz sprawił niektóre z nich w osłupienie. Spokojnie rozchodziły się do swoich domów, po czym wracały, przynosząc nam wszystko, co im pozostało; chleb, mąkę, ziemniaki, kaszę perłową, kawałek słoniny, warzywa i kilka patelni. Mężczyźni zabezpieczali okna przybijając deski. Udało im się także naprawić drzwi. Był już późny wieczór, gdy zostaliśmy sami.

Dzięki naszym białoruskim sąsiadom nie byliśmy głodni. Jednak życie wydawało się beznadziejne.

Komuniści stworzoną przez siebie sytuację wykorzystali w ciągu kilku pierwszych tygodni dla własnych celów. W swoich planach reformy rolnej zamierzali naszą ziemię przekształcić w rządowy folwark, sowchoz. Aby to zorganizować nakazali, pod groźbą surowej kary, oddanie żywego inwentarza oraz maszyn.

Stopniowo życie zaczęło być jakoś znośne dzięki pomocy naszych sąsiadów, ale w lutym 1940 roku mój mąż został aresztowany, a mnie wywieziono do Północnego Kazachstanu. Tej pamiętnej nocy próbowałam uratować pannę Józefę przed wywiezieniem na Wschód. Błagałam milicjantów, żeby ją oszczędzili. Była bardzo słaba. Mogła umrzeć w drodze na stację kolejową. O świcie zgodzili się ją puścić. Co więcej, przekazali ją naszym sąsiadom, Karczewskim, po tym jak zgodzili się ją przyjąć.

Niestety, nie miałam czasu na spakowanie się przed długą podróżą. Zabrano mnie, gdy stałam bez niczego, co mogłabym nazwać „moim bagażem”. Moja podróż w bydłym wagonie do Kazachstanu była podobna do Twojej, z tym wyjątkiem, że umarłabym, gdyby nie pomogli mi Polacy w wagonie. Dzielili się ze mną jedzeniem, a w kołchozie ubierali mnie.

Pracowałam na polach gminnych i mieszkalam w domu rosyjskiej rodziny. Gdy tylko dostałam Twój adres od Janiny, zwróciłam się do władz kołchozu i także Sielsowietu z prośbą o pozwolenie na opuszczenie kołchozu. Spełnili moją prośbę. Potem długo czekałam na zgodę Okręgowego N.K.W.D. Dali mi pozwolenie i transport. „I oto jestem” – podsumowała moja mama.

ŻYCIE W KOŁCHOZIE

Po jakimś czasie otrzymałam list z N.K.W.D. Przysłali mi dwadzieścia siedem rubli jako zapłatę za dom w Baranowiczach, w którym urządzono teraz biuro. Podpisałam pokwitowanie i wzięłam pieniądze. Bardzo mnie to zdenerwowało, jednak nie miałam środków do życia. Potrzebowałam każdego miedziaka, jaki mogłam zdobyć. Zostałam okradziona przez Związek Radziecki w najstraszniejszy sposób. To był legalny rabunek! Nie będzie powrotu do mojego domu.

Kiedy praca w polu dobiegła końca, zostałam wezwana z kilkoma Polkami do biura administracji. Dyrektor zakomunikował nam

o naszym nowym obowiązku, jakim było dojenie krów. Moje towarzyszki zgodziły się. Powiedziałam, że ze względu na niedawną operację prawej ręki, nie mogę doić. Lekarz powiedział mi, żebym nie nadwyrężała ręki przynajmniej przez trzy lata. Zarządca poprosił o zaświadczenie od lekarza. Nie miałam takiego.

Wysłali mnie do Presnówki do lekarza w Ośrodku Zdrowia. Po wysłuchaniu mojej historii Pani Doktor zbadała rękę. Następnie oświadczyła, że nie ma uprawnień do wydawania zaświadczeń w takich przypadkach. Po powrocie od razu udałem się do biura administracji.

Tam powiedziano mi, że jeśli odmówię dojenia krów, zostanę ukarana grzywną. Mogłabym też pójść do więzienia. Skorzystałam z prawa do odwołania, ale i ono zostało odrzucone. Od lekarza nie dostałam żadnego zaświadczenia potwierdzającego niezdolność do pracy, musiałam więc rozpocząć pracę następnego dnia.

O trzeciej nad ranem następnego dnia rozpoczęłam nową pracę jako dojarka. Obora była długim budynkiem, a pośrodku znajdowała się mała komórka magazynowa z małym stołem i jedną ławką. W sumie były nas cztery dojarki. Musiałam opiekować się dziesięcioma krowami. Do moich obowiązków należało zaprowadzenie wszystkich krów z naszej obory do poidła i obserwowanie, czy piją, a następnie odprowadzenie ich z powrotem. Po zabezpieczeniu krów na swoich miejscach, musiałam rozdzielić im paszę, umyć wymiona i ręcznie je doić. Mleko przekazywałam opiekunce. Następnie sprzątałyśmy kabinę. Po południu odbywało się drugie dojenie. Generalnym sprzątaniem zajmował się pasterz, który dostarczał także paszę. Część obory zajmowały młode krowy do jednego roku życia. Obawiałam się ich. Były takie porywiste. Musiałam się między nimi poruszać, żeby zabezpieczyć je łańcuchami. Światło w środku było bardzo słabe. Jedna lampa naftowa wisząca pośrodku nie mogła rozproszyć ciemności.

Cierpiałam na ataki kamieni żółciowych. Pomimo bólu zawsze byłam w pracy na czas. Mój budzik o to zadbał. Dzięki temu zajęciu nabyłam przywileje pracownika.

Możliwość zakupu jednego kilograma chleba dziennie ratowała życie. Jednak zarobki nie były wystarczające. Musiałam dodatkowo wspomagać się, wymieniając i sprzedając swoje rzeczy. Rosjanie i Ukraińcy hodując kury i krowy, radzili sobie o wiele lepiej. Pozwolono im też uprawiać ogródki warzywne.

Z czasem poznałam naszych lokatorów. Obok naszego pokoju mieszkała rodzina listonosza. Byli Kazachami. Rozmawiałam z tą

kobietą, kiedy spotykaliśmy się na korytarzu. Mieli dwie urocze dziewczynki. Listonosz opowiedział mi o ich życiu przed rewolucją. Wszyscy Kazachowie byli wolnymi ludźmi. Byli bogaci. Mieli wiele koni, duże stada bydła i liczne owce. Na rozległym stepie było wystarczająco dużo trawy, aby nakarmić te zwierzęta.

Ludzi szanowano za ich bogactwo. Ich domy były pokryte dywanami tkanymi przez kobiety. Krewni listonosza nadal mieszkali w tej samej wiosce, w której mieszkali ich dziadkowie. Ale wszystko się zmieniło. Teraz byli biedni. Pozwolono im trzymać tylko jedną krowę, owcę i kilka kurczaków.

W naszym domu mieszkało też kilku samotnych Irańczyków, a wśród nich mułła, który był niezdarnym starcem ubranym w długą białą suknię. Nie nadawał się do ciężkiej pracy w gospodarstwie. Moja matka zlitowała się nad nim i codziennie dawała mu miskę zupy. Bardzo wierzyła, że gdzieś, ktoś również pomoże naszym mężczyznom.

W gospodarstwie mieszkało więcej Irańczyków; szewc, garncarz, ogrodnik i kilku młodych mężczyzn, którzy pracowali na roli. Nie wszyscy byli wykształceni, byli to prości ludzie. Pierwotnie wszyscy Irańczycy mieszkali przy południowej granicy w pobliżu Iranu i posiadali obywatelstwo irańskie. Zostali oskarżeni o szpiegostwo i skazani na dożywotnie wygnanie. Ich żony i dzieci deportowano do Iranu, mężczyzn zaś deportowano na północ.

Mieszkało też wśród nas czterech Ormian, przebywających najkrócej na wygnaniu. Byli wykształceni. Jeden z nich pracował jako opiekun klubu, a dwaj żonaci w biurze dyrektora na stanowiskach księgowego i urzędnika do spraw planowania. Para w średnim wieku pracowała w szopie. Biuro administracyjne zatrudniało Rosjan.

Wśród pracowników rolnych znajdowali się zarówno ludzie wolni, jak i skazani na zesłanie. Miejscowi Kazachowie byli zatrudnieni głównie w stajniach i oborach.

Pewnego dnia listonosz zaprosił mnie, abym odwiedziła wieś, w której mieszkali jego krewni. Musiał tam załatwić pewne sprawy. Przyjęłam zaproszenie z nadzieją, że uda mi się tam kupić trochę jedzenia. Wieś położona była niedaleko. Po upływie jakiejś godziny zatrzymaliśmy się przed domem jego wujka. Był to mały domek, składający się z jednego pokoju i szopy dla zwierząt znajdującej się przy tylnej ścianie domu.

W pomieszczeniu podłoga wyłożona była gliną, a pośrodku paliło się małe ognisko. Nad ogniem w dużym garnku gotowała się

woda. Dym trafiał prosto do dziury w dachu i znikał w powietrzu. Drzwi były bardzo niskie. Na przeciwległej ścianie znajdowało się małe okienko, a pod nim podest z desek pokrytych kilkoma baraniami skórami. Było to miejsce do siedzenia i spania. Na podeście siedziało kilku starszych Kazachów ubranych w futrzane płaszcze i czapki. Kobiety w spodniach i długich sukienkach krzątały się wokół ogniska. Ich dobytek wraz z baraniami skórami zawieszony był na ścianach pod dachem.

Stara kobieta nalewała herbatę do czaszki, czyli małej drewnianej miski pomalowanej w kolorowe wzory. Wszystkim podała herbatę. Powoli piliśmy herbatę, podczas gdy listonosz załatwiał swoje sprawy. Po rytualnym wypiciu herbaty wyszliśmy. W tym domu nie było nic do kupienia. Wracając zerknęłam na osadę. Było w niej około trzydziestu domów zbudowanych z darni. Żadnych ogrodów, żadnych kwiatów, żadnych drzew. Jeden z budynków był większy i zbudowany na wzór dużego stogu siana. To był ich dawny meczet. Obecnie służył do innego celu. Wszyscy mieszkańcy byli muzułmanami. Żyli we własnym kraju, ale nie mieli żadnych praw. Ich religia była prześladowana, a wolność ograniczona.

Teraz moja matka mieszkała z nami, dzieląc nasze ciasne mieszkanie i dzieląc się jedzeniem, które byłyśmy w stanie zdobyć. Była wielką pomocą w opiece nad rodziną. W sierpniu 1940 roku do folwarku przybyły dwie rodziny rosyjskie w poszukiwaniu pracy i mieszkania. Mama poznała je. Postanowiliśmy zawrzeć umowę z tymi ludźmi, że wspólnie zbudujemy dom dla nas wszystkich. Matka bardzo mi pomogła w negocjacjach z mężczyznami. Oba małżeństwa miały dzieci w tym samym wieku co moi chłopcy. Dyrektor przekazał nam teren i pozwolenie na budowę domu. Moją najlepszą suknię wieczorową sprzedałem żonie dyrektora, za pieniądze wystarczające na opłacenie pracy wykonywanej przez dwóch mężczyzn.

Uzyskaliśmy pozwolenie na użycie wołów i pługą do ścinania darni na stepie oraz cięcia drewna na belki dachowe i gałęzi na ściany wewnętrzne.

Przydzielono nam miejsce na końcu górnej ulicy prowadzącej na otwarty teren ze wznoszącym się na pagórku stepem. Z tyłu mieliśmy drewno. Najbliższa studnia znajdowała się niedaleko klubu, na dolnej ulicy.

Mężczyźni wytyczyli długi, podłużny kształt będący obrysem przyszłych ścian. Potem zaczęli kosić trawę. Ich żony, moja matka, ja i wszystkie nasze dzieci znosiliśmy kawałki darni, układając je

starannie wzdłuż wyznaczonej linii, omijając przy tym trzy inne naniesione znaki oznaczające miejsce na drzwi. Konstrukcja wznosiła się warstwa za warstwą aż do wysokości okien. Pozostawiając wolne miejsca na okna ułożyliśmy ściany aż po dach. Mężczyźni zamontowali belki, po czym przykryli je gałęziami i wykończyli warstwą darni. Następnie podzielili wnętrze na trzy pomieszczenia. Wewnętrzne ściany zbudowali z gałęzi.

Zadaniem kobiet było tynkowanie. Razem z mamą otynkowałyśmy nasz pokój, który znajdował się pośrodku. Pokryłyśmy podłogę błotem i krowim łajnem. Rosyjskie rodziny zajęły pomieszczenia po bokach budynku.

Dostałam pozwolenie na zlecenie stolarzowi wykonania drzwi i okna. Za te prace zapłaciłam w biurze dyrektora. Prywatnie poprosiłam stolarza o wykonanie stołu, dwóch ławek i trzech szerokich ław do wykorzystania jako łóżka. Zrobił to i dostarczył je w nocy. Był to zwyczajowy sposób zdobywania niezbędnych artykułów i zarabiania przez stolarza dodatkowych pieniędzy, które uzupełniały jego skromną pensję. Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną stolarza. Był żonaty, miał dwie córki i syna. Zaczęliśmy kupować od nich codziennie pół litra mleka i wymieniać je na sukienki, które pasowały na ich dziewczynki. Ilekroć stolarz jechał do kołchozu, pytał, czy chciałabym z nim pojechać po żywność. Dwukrotnie skorzystałam z okazji. W czasie podróży opowiedział swoją historię. Pochodził z rosyjskiej rodziny mieszczańskiej i był wykształcony, ale wolno mu było wykonywać jedynie prace fizyczne. Stało się tak, ponieważ podczas rewolucji służył w „Białej Armii”, walcząc z bolszewikami na granicy z Chinami. Jego rodzice zginęli podczas rewolucji.

Nauczycielka języka polskiego, Pani Dynkawas, mieszkała u rodziny ukraińskiej, jednej z wielu, które w 1930 roku Związek Radziecki przesiedlił z domów we wschodniej części Ukrainy do Kazachstanu. Opowiedziała mi historię wielkiego głodu w roku 1930. Było to w czasie przekształcania prywatnych gruntów w gminy. Ludzie byli temu przeciwni. Głód został wywołany przez komunistów celowo. Ludzie na wsiach byli tak głodni, że tłum włamywał się do domów i zabijał kozę lub krowę ukrytą w spiżarni. Rozcinano żywe zwierzę na kawałki, nie zostawiając nic dla właściciela. Zjedzenie martwego dziecka nie należało do odosobnionych przypadków. Ukraińcy przeszli piekło. Stracili dobytek, niektórzy stracili członków rodziny. Tutaj zaakceptowali nowy sposób życia, osiedlili się, próbowali żyć i wychowywać swoje dzieci. Czy nas też czeka taka przyszłość?

Dom był gotowy, abyśmy mogli się do niego wprowadzić. Potrzebowaliśmy jeszcze pieca do gotowania, pieczenia chleba i ogrzewania pokoju. Z zakupem cegieł nie było problemu, tyle że musiałam je sama zrobić. Wyrabiałam je w każdej wolnej chwili przez dwa tygodnie. Stary irański garncarz wykonał piec według mojego projektu. W końcu się wprowadziliśmy i nadeszła też zima. Zimy przychodzą tam wcześniej. Pod koniec września zaczął padać śnieg. Moja mama z pomocą chłopców zbudowała małą szopę przymocowaną do tylnej ściany naszego domu. Użyli gałązek, a chłopcy zajęci byli zbieraniem suchego drewna. Zebrali znaczny zapas na zimowe gotowanie.

Jesienią sprowadzono stado młodych, pięknych czerwonych krów ze znanej hodowli w Polsce. Polecano je jako „świetnych producentów mleka”.

Aby uzyskać ilość mleka potrzebną do realizacji planu, krowy dojono cztery lub pięć razy dziennie. Te piękne zwierzęta stały się wymizerowane i chude.

W październiku dojarki rosyjskie z podeksytowaniem opowiadały o stachanówce¹⁶ z innej obory, która jedzie do Moskwy po nagrodę i wyróżnienia. Zazdrościły swojej towarzyszce, która zobaczy paradę w Moskwie i weźmie udział w obchodach Rewolucji Październikowej. To było marzenie każdej rosyjskiej dojarki z wyjątkiem Tasi.

– To nie dla mnie, grzesznicy, nawet gdybym wydoiła dwa razy więcej niż wymagana norma – powiedziała mi.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Och, jestem złą dziewczynką, potępioną na zawsze. Zakochałam się w żonatym mężczyźnie. Mam córeczkę. Jego bezdietna żona mnie nienawidzi i skreśliła moje nazwisko z listy ubiegającej się o jakąkolwiek nagrodę.

Lubiłam Tasie. Była szczerą. Inne dojarki prawie ze mną nie rozmawiały.

Dostałam parę wołów i sanie, więc poprosiłam starego pana Jasińskiego o pomoc przy wyrębie drewna w lesie. Udało mu się wraz z Józefem wyciąć kilka brzoź. W zamian za pomoc pan Januski¹⁷ wziął jedną trzecią drewna. Reszta została starannie pocięta i bezpiecznie umieszczona w szopie. Byliśmy przygotowani do zimy.

¹⁶ Stachanowiec – w czasach ZSRR termin określający osobę przekraczającą ustalone normy pracy.

¹⁷ Tak w tekście. Wydaje się jednak, że chodzi o wymienione wcześniej nazwisko Jasiński. Tym bardziej, że Januski nie figuruje w indeksie nazwisk zamieszczonym na końcu publikacji.

W trakcie sezonu krowy były zabierane przez pasterza do laboratorium w celu sztucznej inseminacji. Kiedy jedna z moich krów zaczęła się dziwnie zachowywać, nie było nikogo, kto mógłby ją zaprowadzić na oddział. Musiałam ją sama zabrać. Dowiozłam ją bezpiecznie do zakładu, gdzie dwóch techników przywiązało moją krowę do mocnej belki w kojcu w pierwszym pomieszczeniu. Wkrótce pasterz przyprowadził groźnie wyglądającego byka i „procedura” rozpoczęła się. Kiedy było już po wszystkim, technik zabrał większość pozostałych plemników do banku znajdującym się w lodowce w drugim pokoju. Ten tak zwany proces naukowy został przeprowadzony w poważny sposób, z wyjątkiem zachowania się pasterza. Był podekscytowany i zachowywał się w obrzydliwy sposób. Musiałam go surowo zganić.

Podczas pobytu w klubie zaprzyjaźniłam się z Marią B., która była ode mnie kilka lat starsza. Mieszkała w domu z Rosjanami. Była samotna i nieszczęśliwa, mieszkając z obcą rodziną, traktując ją jak służącą. Cierpiała na silny ból pleców. Spanie na podłodze pogłębiało jej cierpienie. Kiedy przeprowadziliśmy się do naszego domu, odwiedziła nas. Widząc, że cała moja rodzina zarządza codziennym życiem w zorganizowany sposób, zapytała, czy pozwolimy jej u nas zamieszkać. Przyjęliśmy ją. Józef spał na dwóch wąskich ławkach zamienionych w łóżko. Jan i Zdzisław dzielili szeroką ławkę, a mama zostawiła swoją ławkę Marii i dzieliła łóżko ze mną.

Wraz z postępującą zimą coraz trudniej było nosić wodę ze studni. Niesienie pełnych wiader po wąskiej, śliskiej ścieżce nie było łatwe, ale dawałam radę nieść małe wiadro. Jan pomagał nosić duże wiadro, trzymając za koniec drążka, w który ono uderzało. Współlokatorzy mojego domu przewidzieli problem z wodą. Kiedy dom był już ukończony, zaczęto z tyłu kopać studnię. Okazało się jednak, że musiałyby być bardzo głęboko wykopana aby sięgać poziomu wody, a co za tym idzie zbyt kosztowna, by wykończyć jej boki i górę betonowymi pierścieniami. Zaniechali więc dalszych prac i pozostawili wykopaną dziurę bez zabezpieczenia.

Temperatura gwałtownie spadała. Burze śnieżne przyniosły temperatury minus 45 stopni i sprawiły, że poranne pojenie bydła stało się koszmarem. Zwierzęta dygotały z zimna i nie chciały wychodzić z obory. Poza tym były głodne. Dostawały coraz mniej pożywienia, ponieważ agronom nie przygotował wystarczającej ilości paszy. Przed Bożym Narodzeniem 1940 roku poprosiłam dyrektora o zwolnienie mnie od dojenia krów. Moje ręce były spuchnięte.

Ledwo mogłam ścisnąć wymię, ale on odmówił. Krowy rodziły cielęta i dawały coraz mniej mleka. Nie mogłam więc wyrządzić im krzywdy, nawet jeśli nie byłam w stanie efektywnie doić.

Po Bożym Narodzeniu przyszedł czas na cielenie. „Noworodka” musiałam nosić na rękach do obory dla cieląt. Mało się nie zabiłam, spiesząc się z tymi „dziećmi”, bojąc się, że mroźny wiatr może im zaszkodzić.

Kiedy „wszystkie dzieci” się urodziły, nastąpił istny potop mleka. Najcięższy był koniec stycznia i luty 1941 roku. Nie byłam w stanie wydoić całego mleka. Po prostu nie mogłam. Moje dłonie były jak dwie duże grudy bez uchwytu. Zwierzęta cierpiały głód i ból. Ich wymiona były pokryte pęcherzami, a z mlekiem leciały krople krwi. Paszy brakowało tak bardzo, że krowy zjadały nieliczne żdźbła słomy z podłogi. W południe pasterz dawał im garść młodych pędów brzoź, by mogły przetrwać.

Do nieszczęścia doszła bruceloza. Mleko było skażone. W rezultacie wśród ludzi w gospodarstwie zdarzały się przypadki zarażenia tą śmiertelną chorobą. Zachorowała też młodsza córka ormiańskiego księgowego. Nie było wówczas leku na brucelozę.

Takiemu stanowi rzeczy nie pomogło zwolnienie agronoma. Na jego miejsce zatrudniono młodego mężczyznę, który skończył studia rolnicze na uniwersytecie, ale urodził się w mieście. Był zszokowany, gdy dowiedział się, dlaczego w gospodarstwie byli Polacy. Traktował Polaków z szacunkiem, podziwiał naszą determinację w przetrwaniu i miłość do Polski. Wszyscy zauważyli moje ręce. Dojarki i pasterz zgłosili to zootechnikowi, który powiadomił zarządcę. W rezultacie zostałam wezwana do biura dyrektora. Patrząc na moje ręce, powiedział, że przeniesie mnie do innej pracy. Od marca 1941 pracowałam głównie przy maszynach do sortowania kukurydzy, pszenicy i nasion słonecznika.

Czasem musiałam chodzić do stodół na polach daleko poza gospodarstwo. Zwykle pracowałam w zespole z pięcioma Polkami. Pracowałam też w oborach na farmie, przewracając dużą łopatą stopy pszenicy w celu jej wysuszenia. Pod hałdami kiełkowały ziarna pszenicy. Wszędzie w gospodarstwie dochodziło do marnotrawstwa spowodowanego zaniedbaniami. Głodowaliśmy podobnie jak zwierzęta, a plony, które mogłyby nas wyżywić, szły na marne.

Tłumaczenie i opracowanie Krzysztof Bąkała

The three lives of Felicja Polkowska. Part I

Keywords

Felicja Polkowska, Word War II, deportations, kolkhozes, fate of Polish teachers, Polish diaspora in Britain

Summary

Themes surrounding the tragic fate of Polish people living in the eastern territories of the Second Polish Republic following the invasion by the Soviet Union have already been addressed by a considerable body of literature. The tragedy of families deported to an 'inhuman land' has become increasingly common knowledge, especially through accounts of those who managed to survive the ordeal. Each such harrowing account is unique. However, it is uncommon for such survivor stories to be written in a language other than Polish. One such rare example is the memoirs of Felicja Polkowska, published in English under the title *The Undeclared War* by Derbyshire Country Council Libraries & Heritage Department in 2000. These memoirs were not a result of investigative research by historians, genealogists or biographers. The author's intentions were laid out in the foreword by Jenny Edgar, the memoirs' editor, expressing her confidence in their value and importance for many people. The substantial historical value of these memoirs must also be highlighted as they provide a detailed record of the places where the author stayed and the things that she did. The memoirs of Felicja Polkowska would not have had much chance of reaching a wider audience, especially Polish-speaking readers, had it not been for the genealogical research undertaken by her granddaughter Linda Polkowski. It led her to find her relatives in Poland, who took a keen interest in the memoirs. As a result, her Polish cousin, Grażyna Liana, aware of their value, decided to bring them to the attention of the editors of the *Kwartalnik Kresowy* quarterly journal, and succeeded. Thus, we are presenting them to our readers as an important contribution to the recorded history.